Ner 8. 1860. 19 Listopada.

NIEWIASTA.

Nieco o prawdzie.

„Na początku była prawda, a prawda była od Boga“ lecz wypłoszyło ją kłamstwo i zamieszkało pomiędzy ludźmi, którzy je z dobrą przyjęli wolą, bo więcej dogadzało ich zachceniom i złym namiętnościom. A prawda — tułaczka, z pogodnem czołem, biega odtąd z miejsca na miejsce i nigdzie stałej gościny znaleść nie może, bo kłamstwo wyrosło w siłę i wszędy swoje rozpostarło władanie — niby klątwa która srogim ciężarem i chłostą ziemię przygniotła. Bo bez prawdy nie ma cnoty — a bez cnoty gdzieżby znaleść spokój — i szczęście?

Prawda — tułaczka przebiegała widownię świata, niby cień błędny, szukając dla siebie przytułku.

Przemknęła obok grona mężczyzn, kierowników, przewódzców, panów świata. Wkoło brzmiały szumne, wielkoduszne wyrazy — radzili o szczęściu ludów — a prawda pobladła i przesunęła się niepoznana, ze smutkiem. — Kłamstwo zewsząd tryumfującym wyzierało wzrokiem.

Zbliżyła się do grona niewiast, młodych, pięknych, sędziwych, poważnych — i odwróciła się nagle od kłamanych uśmiechów i białych ramion, zdobnych w drogie koronki i kwiaty; od kłamanych rumieńców, uśmiechów i słów pełnych fałszu.

Piękna, wspaniała świątynia Pana, bogata w arcydzieła sztuki, jaśniała mnogiem światłem. Z kazalnicy natchniony kapłan głosił świętą naukę,—pobożni wkoło poklękali i słów namaszczonych z podniesieniem ducha słuchali. Prawda wsparła się o filar mownicy, niby piękny posąg dłonią greckiego wyrzeźbiony mistrza. Rzekłbyś, że świętość zaległa każdy zakątek przybytku bożego. W tem szmer od przysionku uroczystej przeszkodził chwili: przed kościół zaszła lśniąca kareta, za tą druga, trzecia—i cały szereg. Z pierwszej wysiadł starzec w młodzika masce; niby dom ruiną grożący, różnokolorowym ubarwiony pokostem. Do świątyni z szelestem i wystawą weszło grono weselne. Na czele piękna kobieta, błyszcząca młodości krasą i ów starzec umuskany; i byli to oblubieńcy. Piękna pani z wdziękiem i słodyczą, uśmiechnięta — szczęśliwa z bogactw które z ruiną podzielać miała — oblubieniec śmieszny swoją krasą młodości, — oboje przedstawiali gorzkiej ironii obraz. Na czole młodej pani wyczytała prawda wyraz: *zaprzedana.* Na jej przyszłego małżonka z litością spojrzała. Gdy orszak weselny tryumfującym pochodem posuwał się głośno wśród klęczących postaci — kapłana słowa natchnione przemilkły właśnie — i prawdy już nie było. Szmer przycichy, wesoły, szeroko się rozległ.

Prawda pomknęła w koło rodzinnego życia: tam brat z bratem ojcowizną się dzielił — a prawda odwróciła się od nich. Tam żona wdzięczyła się mężowi, spoglądając z ukosa na lwa salonowego, który jej dziwnym odpowiadał uśmiechem — i prawda szybko zniknęła.— Noc zapadła, wiatr jesienny szumiał w suchych gałęziach. Z rozrzuconym włosem, z załamanemi dłońmi — biegła młoda sierota sama nie wiedząc dokąd; na cmętarzu spali ojciec i matka — ludzie sponiewierali sierotę — i odarli ją z ojcowizny. Serce jej uderzało ciepłem — uderzało tęsknem pragnieniem: jej nikt nie kochał — i nie było nikogo, by pokochać go mogła. Wszystkiemu przyganiano cokolwiek czyniła — spotwarzano nawet łzy jej i gorące modlitwy. „Na groby!“ — jęknęło w zbolałej jej duszy — „Na groby!“ — tam ją powiodła najżałośniejsza tęskność sieroty. Wiatr szumiał, srożył się — furtka cmętarna skrzypnęła: sierotka wsunęła się na groby rodziców — i niby lżej jej było — gdy do zimnej przytuliła się ziemi. Prawda przy niej uklękła — i z nią łzy pospołu rosiła.

Po ulicach miasta mknęła prawda — tułaczka, niby białe piórko wiatru podmuchem gnane — zewsząd ją dochodził brzęk złota i zaklęcia handlarzy — a kłamstwo rozpostarło się niby bóstwo na świecącym rydwanie. Kiedy niekiedy tylko przystanęła w progu pracujących na chleb powszedni — w rękodzielniach — przy znędzniałych robotnikach, potem wysilenia oblanych — by do dalszej wytchnąć pielgrzymki.

Biegła dalej znękana — sponiewierana— spotwarzona; biała na niej podarła się szata—włos miała rozchwiany— lica blade — łzę w oku — ale czoło jasne, aureolą spromienione.

Znużona długą wędrówką, spoczęła na kamieniu wśród pól zielonych, rodzajnych, blisko wioski o słomianych strzechach. Opodal kilku chłopków żyzną odwracało skibę, ochocze w czysty przestwór wysyłając piosnki. Tam drobne dziewczątka i chłopięta na złotawem ściernin pozostałe zbierały kłosy. Dalej znowu parę niewiast rozciągało białe płótno na świeżej murawie — i one przy pracy różne zawodziły nuty. Prawdy — tułaczki załzawione wypogodniało oko—lica skrasił rumieniec— podjęła włos rozchwiany i ułożyła go składnie. Zadzwoniono na *Anioł-pański*, i parobcy, niewiasty i dzieci, — wszystko przedwieczorną zmawiało modlitwę. Prawda przy modlitwie i pracy dłużej pogościła.

Ponad drogą, przy schludnym domku, siedziała niewiasta pogodnego oblicza, trzymając dziecię na łonie i tuliła je do serca z całą miłością matki. I prawda usiadła przy niej — wypogodniała jeszcze więcej — i dłużej znowu spoczęła.

Orszak pogrzebowy, spełniając ostatnią ziemską przysługę zmarłemu, zwolna cmętarz opuszczał. Na świeżą mogiłę rzuciła się z krzykiem najsroższej boleści pozostała wdowa — sierota nieszczęśliwa! — a prawda tułaczka pochyliła się nad nią. Biedna, doznawała najczulszej, najtroskliwszej opieki — była kochaną i całą duszą kochała — a dzisiaj pozostała się sama — jedna na całym, wielkim obszarze świata! i obszar ten bezmierny był ciasnym dla wdowy — sieroty! — Był ludnym i gwarnym — dla niej stał się próżnią — pustynią — jednym grobem wielkim. Wołała z głębi rozdartego serca do Ojca w niebie — sama niewiedząc o co błagać miała — i polecała się Jego wszechmocnej opiece. Prawda tylko pojęła srogość jej bolu — i prawda jedynie-li z takim bolem współcierpieć umie. Gdzieś tam — u dzikich Indyan, wdowa z trupem męża pali

się na stosie: barbarzyńcy to straszne stanowiący prawo, zrozumieli los nieszczęsny wdowy-sieroty. Zbliżyli się do niej ludzie — podnieśli z ziemi jęczącą boleśnie — gadali jej o opiece — o współczuciu — piękne, szlachetno-brzmiące wyrazy ..... a prawda daleko od nich pierzchnęła.

Przypłowiałe ściany obszernej komnaty zdobiły piękne obrazy: Rejtana, Andrzeja Zamojskiego, Małachowskiego Stanisława, Ignacego Potockiego, Kościuszki i innych w kraju zasłużonych mężów — także kilku młodszych, z późniejszych czasów, nie niższych zasługą i poświęceniem, a wyższych nieszczęściem. Dalej wisiały: piękne strzelby, pałasze i kindżał turecki — znać dawna z pod Wiednia pamiątka. W krześle poręczowem siedział starzec z krzyżem legii honorowej na piersiach — z głęboką przez czoło szramą. Spokój nadziemski powlókł sędziwe rysy. Włos mlecznej białości, rzekłbyś, że światło-krągiem jego opromienia oblicze. Zwolna drzwi się rozwarły i młodzian — na którego podniesionem czole osiadł wyraz swobody, a w oku zapał szlachetny — wprowadził do komnaty dziewicę, szatą białą owianą, z wieńcem rozmarynowym nad czołem. Podniecona krasa jej wdzięczne zróżowiła lica — oczy ku ziemi spuściła. Młoda para uklękła przed sędziwym wojakiem: wyciągnął dłoń drżącą ponad ich schylonemi głowami — spojrzał ku niebu — i pobłogosławił klęczącym. Lica dziewczęcia łzy obfite, przeczyste, dziewicze zalały. — Młodzian spojrzał ku niej z miłości współczuciem — i jego źrenica łzą połysnęła przejrzystą. Prawda stanęła pomiędzy niemi, piękna, jaśniejąca, prawda boża — i szczęście im było.

A spojrzyjmy w dawniejsze czasy — dzięki Bogu, że już minione — czasy krwawego prześladowania chrześcian.

Na twardem łożu siedział wyznawca Chrystusowej wiary — w pierwszych dniach jej rozszerzania się po świecie — od nieprzyjaciół Boga prawdziwego wtrącony w podziemne więzienie — był on sino-blady, wynędzniały, z wzrokiem ponurym, nieruchomo w jedno utkwionym miejsce: boleść w każdym jego wyryła się rysie — on modlił się do Boga o wytrwanie, o siły aby nie upadł pod ciosami i jarzmem ślepej zgrai niedowiarków.

Za cóż cierpiał ten nieszczęśliwy? Czyliż popełnił jaką zbrodnię, przez to że się nie wyparł prawdy, nie wyparł nauki swego mistrza — Boga-człowieka? On cierpiał za najszlachetniejszą najwyższą miłość — miłość Boga, która z upadku całą ludzkość podźwignęła — miłość, bez której nie było i nie ma prawdy na ziemi, on cierpiał za wiarę, a męczeństwo jego Bóg wzmacniał ufnością i nadzieją wieńca nagrody w niebie. — Prawda na długo zamieszkała przy nim.

Indziej tłumy ludzi wierzących pędzą na pastwę igrzysk i tortury. Tam kona tysiące biednych — nieupadłych ani na chwilę w wierze. Prawda — biała i czysta jak anioł miłości bożej stoi przy nich — i przyświeca niby gwiazda na ciemnem niebie, bolejącem nad krwią zalaną ziemią.

W miłości i cierpieniu jest prawda. Za prawdę byli męczennicy — kłamstwo doprowadzało pod pręgierz.

O, matki-polki natchnijcie dziatki wasze od samej już kolebki miłością dla prawdy — bo z prawdą jest pięknie i dobrze: wśród smutku i niedoli, wśród nieszczęść rozlicznych, prawda wspiera i pociesza, bo z nią jest w i a r a, m i ł o ś ć i n a d z i e j a!

Od pierwszego głużenia waszego dziecięcia, zbudźcie w serduszku maleńkiem wstręt do kłamstwa: z małego początku złe wielkie bywa niekiedy — a kłamstwo jest podstawą wszelkiego grzechu — występku — i zbrodni.

Lud nasz powtarza: „Kto umie łgać, ten umie i kraść“ złe jedno wyradza drugie. Na podstawie kłamstwa wyrasta: niecne pochlebstwo, oszczerstwo, potwarz, bluźnierstwo, oszustwo, sprzedajność, bezwstyd, bezbożność, krzywoprzysięstwo, prostytucya i zdrada.

Mięszaj, zdradzaj, kłam śmiało, będziesz panem pewnie:
Bojaźliwa niewinność płacze w kącie rzewnie.

Bo w obec kłamstwa i prawda nawet wydaje się kłamstwem: w obec zarzutu opartym na prawdzie, bronić się można — w obec zuchwałego kłamstwa nigdy, dopóki nie runie, a prawda nie zejdzie niby jasna gwiazda.

Prawda jest podstawą wszelakiego dobra i pomyślności wszelkiej. Bez prawdy nic ostać się nie może, jak budynek bez fundamentu: zbudujesz go, a potem runie z łoskotem, ze stratą — i ciebie samego nieraz przygniecie!

Bez prawdy nie masz szczęścia! Bo i jakież to szczęście być może, które na kłamstwie i zdradzie wyrosło? Sztuczne, chwilowe, bez spokoju wewnętrznego, zagrożone bezprzestannie — a poza niem następuje wyrzut sumienia i nadejdzie surowy wymiar sprawiedliwości.

„Oliwa zawsze wyjdzie na wierzch“ — niesie przysłowie, bo nic nie masz skrytego pod słońcem.

„Wszystko wie się z czasem!“ są słowa złotoustego kapłana.

„Cnota“ — a zatem prawda — „chociaż naga, zełona, sama przez się jest dobrem człowieka“ — wyrzekł mąż znamienity cnotą, trudem i cierpieniem dla współbraci i ojczyzny.

Prawda zagrodzona kłamstwem, zbrukana, sponiewierana, zarzucona oszczerstwem i potwarzą, da się porównać do pięknego posągu, który wyszedł z pod dłoni natchnionego mistrza: zastawiono go rusztowaniem, zawieszono płótnem, słomą, płotami, na których osiadł kurz, deszcz i błoto. Ale przyjdzie dzień świąteczny — i runą deski, spadną zbrukane szmaty — i piękny posąg kształtów cudnie wykończonych w całem swojem odsłoni się pięknie. Ponad nim pogodne roztoczą się błękity i jasne promienie słońca.

Płacz twój, p r a w d o, ojciec w niebie słyszy!

Paulina z L. Wilkońska.

Polki literatki.

(DOKOŃCZENIE.)

Prusiecka Józefa pisywała wiele do noworoczników od roku 1839, mianowicie do *Pierwiosnka*. Razem zebrane *poezye* wydała r. 1841 — pochwalił je *A. J. Szabrański* w bibl. warsz. 1842 II. i wytknął błędy wierszowania. *W bibl. warsz.* 1841 r. IV. postawiono ją na czele pietnastu jednocześnie piszących autorek. Wiersz swobodny, opowiadanie świetne, malownicze, pojedyncze ustępy prawdziwie poetyczne, całość nie zawsze artystycznie opracowana, oto są cechy utworów Prusieckiej. Liryka w której osobistość poetki występuje, jest jej najlepszą stroną. Poezyjki: *Odmówiona jałmużna, Anioł pociechy, Uśmiech zwodniczy*, są—jedne z najlepszych. *Fr. Lewestam* (w Rocz. kryt. lit. 1842) wychwala poezyą: *Wolę nisko*; i mówi że poezye jej nie są dziećmi chwilowego natchnienia, ale dość długiego przedumania; chwali najpiękniejsze rozwijanie myśli i głębokość uczucia. — W *Przegl. warsz.* 1841 zamieściła: *Pieśń Minstrela.*

Pani *Ilnicka Marya* wystąpiła r. 1854 jako tłumaczka poematu: *Pan dwóchset wysp.* (w Bibl. warsz.) o którym

z pochwałami rozpowiadano w *Gaz. warsz.* 1854 r. Nr. 216. Przełożyła także pieśni *Ossyana.* Kilka poezyj które ukazały się w *Czyt. niedz.*, *Tygod. illustr. Magazyn. mód i Rozrywkach dla młodocianego wieku*, wskazują, że talent *Ilnickiej* jest niepośledni. Dość przeczytać wiersz *Tessalianka* (w *Dzien. literac.* 1859 r. Nr. 104) aby przyznać, że nie brak poetce i siły i uczucia. O Ilnickiej jako o autorce scenicznej, powiem osobno.

Seweryna z Żochowskich Pruszakowa wystąpiła po raz pierwszy w *Album literac.* roku 1848 przekładając opis francuski Arkadyi przez ks. *Radziwiłłową. Aleks. Tyszyński* przeczuł jej talent i pochwalił. Poezye swe mieściła w *Wiązance literac.* 1853 w *Bibl. warsz.* 1854 roku toż w *Rozm. lwow.* 1844-5-6 r. w *Nowinach* 1855 Il *Telegrafie* 1853 *Dzien. literac.* 1858 umieścił jej wiersz do Karola Szajnochy. Pisywała pierwotnie pod pseudonymem *Jarosza.* Osobno wydała: *Powieści poetyczne* Warsz. 1855 r. tom IV. *Elżbieta Drużbacka* poem. 1855 r. *Sebastyan Klonowicz* poemat 1855. O jej pracach prozą, rzecz będzie później. — Na talent Pruszakowej mało zwracano uwagi. Zasłużyła ona aby ją oceniono sumiennie i uważnie. Jeden *Winc. Dawid* zastanowił się bliżej nad naturą jej poezyj (w *Gazecie warsz.* 1855 r. Nr. 16.) Pruszakowa wybornie włada językiem i jest poetką w całem znaczeniu tego wyrazu, formę znalazła gotową, i według tej formy układa gawędy: *Dwa dwory, Zagroda wiejska, Dwie drogi, Obrazek wiejski* i t. p. forma więc jest jednostajną — ale forma to skorupa, rozbiwszy ją, dostajemy się do rdzenia. W tej formie, jakież tam napotykamy prześliczne myśli, jakie obrazy poetyczne, jak gorącą miłość ojczyzny, jakie męzkie silne zarysy! — Gdy gawędy jej ogłaszała *Bibl.warsz.* bezimiennie, zdawało się, że to nie pióro kobiece, ale pióro *Konratowicza* a niekiedy i *Pola.* W tem tylko nie jest oryginalną, że przypomina niekiedy ich sposób pisania, w tem jest wadliwą, że częstokroć rozwleka rzecz i pieści się z drobiazgami, że więcej opowiada niż działa. Mimo tych wad, jest poetką mogącą mierzyć się z najlepszemi poetami naszemi. Czołem biję przed talentem *Deotymy* ale wolę czytać poezye *Ilnickiej, Pruszakowej* a niekiedy i *Żmichowskiej,* bo więcej w nich widzę żywości i więcej serdecznego uczucia.

Był czas kiedy o *Annie Terleckiej z Szugtów* wiele mówiono, wielkie rokowano nadzieje, być może dla tego, iż była pierwszą kobietą z dzisiejszej epoki, obdarzoną bystrzejszą fantazyą poetycką. Urodzona 1811 roku umarła r. 1835. Za krótko więc żyła, aby mogła pozostawić po sobie utwór pomnikowy. Ocenili jej talent *Stan. Przyłęcki w Sławianinie* r. 1837 i *Hip. Skimborowicz w Dwutyg. literac.* 1845 r. Rozrzucone poezye jej w *Rozm. lwow.* 1833-4 roku (Gwiazdka. Improwizacya) w *Świet. lwow.* 1834 (wachanie) w *Pamiętniku naukowym* 1838 (kobieta) i przytoczone przez *Skimborowicza*: Trzy łzy anioła, Do ptaszka, nakoniec w *Sławianinie* (Wigilia św. Andrzeja, pieśni), wskazują iż liryka była u niej cechą przeważającą; wiersz udatny i rzewność tęskna, cierpiąca, budziła sympatyę, naturalnością pieśni. Byłoby pożądanem, aby pozostały wdowiec, dawniej lekarz — dziś wymowny zakonnik, wydał całkowity zbiór poezyj Terleckiej pozostający w rękopiśmie.

Mniej wykształcony, mniej znakomity jest talent *Anny Liberównej* znanej pod imieniem *Anny Krakowianki.* Wydała ona: poezye 1842, poezye nowe 1846, poezye narodowe 1849. Wiejska rodzina, sielanka 1859. Napisała poemat, *Apostata* — W roku 1845 obszernie rozpowiadał o niej *H. Skimborowicz* w Dwutygodniku. Wiejską rodzinę pochwalono w *Gaz. warsz.* 1859 r. Nro 210 — Podziwienia godnem było w Liberównej, że wychowana na wsi przez wiejskiego nauczyciela, nie mając nauk odpowiednich, nie kształcąc się, na żadnych wzorach, zdołała przemówić śmiało, poetycznie i z żywą wyobraźnią. Jej wiersz: *Jestem kobietą* drukowano kilkakrotnie (ostatni raz w *Kalend. dams.* na rok 1852) jest on istotnie jednym z najlepszych — Talent jej, w miarę jak podnoszono doniosłość jego, chylił się ku upadkowi — pierwszy zbiór poezyj jest najlepszym, w drugim znajdujemy wiele wierszy pisanych pospiesznie lub z pretensyą do namaszczenia poetycznego; — owa prostota, główna okrasa pierwotnych poezyj, nikła w miarę tego, jak poetka rozpatrywała się po świecie; rozczytywała w arcydziełach. Mimo tego, z uwagi, że Liberowna jest samorodnym talentem poetyckim, że kilkanaście bardzo pięknych lirycznych utworów wyśpiewała, zasługuje ona na celniejsze miejsce pomiędzy wierszopisami polskimi.

Marya z Gniezna urodzona w Bydgoszczy uczennica doktora *Neja* wydała: *Poezye* Gniezno 1849 rok. *Poezye religijne* 1857r. Wychwala je *Przegląd pozn.* 1849 i 1854 r. pochwały były słuszne — poezye *Głos polki* (w Dzien. narod. 1847 r.) *Modlitwa w czasie walk* (w Przyj. ludu) *Dalej na wschód. Wieńce dla poległych braci* i t. p. ubrały w szatę niewieścią ów ogień jakim płonąć powinny serca poetów, jeżeli mają wywierać wpływ na naród i być wieszczami narodu.

Walentyna Horoszkiewiczowa z Trojanowskich nie wydała osobnego zbioru prac, ale umieszczała je w *Jutrzence* 1834 r. *Pierwiosnku* r. 1844 w *Zorzy* 1844 roku *Dzwonku* 1850 r. *Dzien. literac.* 1854. *Wiankach* 1853 r. *Nowinach* 1855 r. Wiersz gładki, myśl pięknie rozwinięta, czystość wysłowienia, są zaletą jej pióra. Dla tego pochwalił je *A. J. Szabrański* przytaczając wiersz *Więdnąca róża* (w Bibl. warsz. 1842 r. I.)

Na tem wypadałoby zakończyć rzecz o poetkach, bo reszta nie wystąpiła z osobnemi pracami uwagi godnemi. To, co pani *Seweryna Badeniowa* (w Czytelni dla młodzieży 1860 r.) i *Wilkońska Paulina* (w Dwutygod. liter. 1844) podały, za szczupłe jest co do treści, aby z tego wyrokować o talencie.

Karolina z Rylskich Wojnarowska wydała poezye p. n. *Bluszcze* 1846 r. Lipsk, które tylko dowodzą wprawy pisarskiej i niejakiej fantazyi, lecz w całym obszernym zbiorze, nie ma wyrazistszych cech wyższości. *Wojkowska Julia z Molińskich* (zmarła 9 sierpnia 1851 roku) śpiewała tylko dla ludu, o tem więc będzie osobno.

Dla dopełnienia rzeczy o wierszopiskach wymieniam inne tylko pobieżnie podając datę w której drukowały swe utwory są one: *Bełcikowska Józefa (r. 1846), Benisławska Konstancya z Ryków (r. 1776), Bratkowska A. (1801), Brzozowska Julia (1844), Bystrzanowska Karolina (1855), Chopin Emilia (1827), Czechórska Anna (1822), Dembowska Aniela (1842-3), Dzieduszycka Talia (1844-5), Felińska Emilia (1806), Fischerowa Stefania (1841), Glaize Elżbieta (1801), Glińska Teofila (1785), Goczałkowska Julia (1840-5 1853-5), Grabowska Emilia (1840), Humnicka Józefa (1826), Humnicka Izabella (1826), Janiszewska Julia* (Bronisława pseud.) *(1854-60), Julia Malwina (1820), Jolanta (1848), Kossowska Kamila (1838), Kamińska Julia Adela z Baumanów (1831), Keinhauzer Barb. (1858), Klat Emilia (1840), Kordynowicz Innocenta (1840), Kraków Paulina (1838-42), Krasicka Henryka (1842-4), Krechowiecka Antonia (1826), Lisowska Kornelia (1848), Lubieniecka Emilia (1824), Łukaszewiczowna Izabela (1838), Maciejowska Aleksandra (1838), Mamdzińska Marya ze Zbrożków (1853-4), Malczewska Eleonora (1820), Malczewska Kornelia (r. 1854), Malikowska Fel. Joanna (rok 1820-1), Marcinkowska Aniela z Kozłowskich (1845), Małkowska Petronella (1842), Miechowiczowa J. Felicyanna (1827-29), Mierzyńska z Zawiszów Prowidencya (1839-42), Modzelewska Antonella z Cyrylów (rok 1816),*

Muszalska Elżbieta (1838-40), Jurewiczowa z Narburtów Kamilla (r. 1829), Niemierzycowa Antonina z Ielowickich (1750), Obr... Barbara (r. 1822), Ossolińska Ludwika (przed r. 1830), Papara Teodozya (r. 1853), Paradowska Innocenta (1848), Pienkiewiczowa Konstancya (rok 1838), Podbereska Róża (1843-9), Podbereska Weronika (1849), Poradowska Izabella z Podlewskich (1831), Ponińska Agnieszka (1850), Potańska Placyda (1821), Proniewska Karolina (1856), Radecka Kazimiera (1839), Radziejowska Konstancya (1848), Radziszewska J. (1839), Rogozińska Władysława (1857), Rapelewska Józefa (1843), Rogaska (1829), Sosnowska Stanisława (1848), Stryjońska Maryanna (1802), Świątkowska Izabella (1843), Szwejkowska Jadwiga z Niemcewiczów (1854), Walde Amalia (r. 1843), Wajtsowiczowna Leokadia L. (1838), Zawadzka M. (1858).

W tym spisie 68 kobiet, jako autorek drobniejszych poezyj, pominięto te, które tylko cyframi podznaczały się, pominięto i te, których wierszowane prace do innej gałęzi literatury, już to do dramatu, już to do dzieł dla młodzieży i t. p. odnieść należy — o tych to nie wymienionych a wierszem piszących autorkach, wypadnie wzmianka w dziele: utwory *religijne, sceniczne, powieściowe, edukacyjne* i t. p.

Zebrany poczet powyższy piszących Polek, wymieniony jest ogółowo nie dla tego, iżby między niemi nie było kiełkującego talentu, lecz dla tego iż nic stanowczego o rodzaju ich talentu wypowiedzieć nie można. Niektóre z nich pisały wiele, ale z tego, nie wiele coby wybraćby się dało. *Goczałkowska Julia* wydała r. 1845 swoje pisma wierszem i prozą w 3 tomach; lecz tylko jedna poezya odpowiadająca pieśni *Wasilewskiego Edmunda*, zwróciła uwagę na siebie *(Karpaty i klasztór bielański* w Tygod. liter. 1840 r.) Ostatnie jej wierszyki w *Telegrafie* 1853 r. (Jazłowiec mgły na Dniestrze) i w *Nowinach* 1855 r. I., nie dowiodły rozwinięcia się sił poetyckich.

Proniewska Karolina zmarła 26 maja 1859 r. w Ucianie, poezyami *Sen o Marylce, wiersz o Deotymie* (w kronice 1856 r.) stwierdziła tamże (w nrze 39) wypowiedziane o niej zdanie. *Piosneczki Bogu na chwałę. Festyna wielkiej Kalwaryi na Żmudzi,* poezye wydane w Wilnie r. 1856 r. wskazywały zaród talentu, lecz śmierć zawczesna nie dozwoliła mu rozwinąć się — Tak samo w r. 1827 przedwczesna śmierć pozbawiła nas obiecującego talentu *Emilii Chopin* siostry kompozytora.

Ładna jest poezyjka *kolenda* Karoliny Bystrzanowskiej (w *Nowinach* 1855 r.) ładniejsze poezye *Talii Dzieduszyckiej w Album* 1844 r. (Tęsknota) i *Dzien. mod. par.* 1845 r. (Ostatnie chwile Kar. Magnuszewskiej) *Jolanty* poezye: Muzyka natury. Pogląd w niebo (w *Dzwonie literac.* 1848 r.) są prześliczne.

O ogromnym talencie poetyckim *Agnieszki Ponińskiej* pisano wiele w *Tygod. pols.* 1850 r. Poezya ośmnastoletniej *Władysławy Rogozińskiej*: Kwiat ułudy (w *Dzien. warsz.* 1855) bardzo zgrabniuchno ułożona.

Sonety *Leokadyi Wajtsowiczownej* (Biruta 1838) o której tyle pisał *Skimborowicz* w *Piśmien.* 1840 r. J. S. w *Tyg. peters.* 1833 r. obmyślane z wdziękiem, wypowiedziane z naturalnością — tkliwy wierszyk: Skowronek, pióra *M. Zawadzkiej (w Dzien. literac.* 1858 r. Nr. 64) — te wszystkie wskazówki drobnych, udatnych utworów, wypowiadają przekonanie, że od czasu do czasu z grona płci pięknej, występuje w górę jakiś nie znany pełen otuchy talencik, zapowiada ubogacenie literatury naszej, jeżeli nie celującemi to przynajmniej udatnemi pracami, lecz kończy się na tej zapowiedzi, bo po ukazaniu się kilku piosnek po czasopismach, bądź skromność, bądź inne pobudki osobiste, pozbawiają literaturę prac niewieścich. Gdyby to szło jeszcze o poezye, to mniejsza o to, lubię poezye pierwszo-rzędne — jeżeli takich nie ma, to nie warto starać się o mierne; — lecz jak z poezyami, tak samo dzieje się i z innemi pracami pióra kobiecego, które ukryte w rękopismach, marnieją ze szkodą dla piśmiennictwa polskiego.

L. R.

NAD EUFRATEM.

Z Bajrona.

Nad Eufratem siedzim bolejący,
Patrząc się w fale mieniące — srebrzyste —
I w Jeruzalem patrzym się płaczący,
W to Jeruzalem stare — uroczyste,
I widzim jego skon — rozdzierający
Serca miłością dla niego przeczyste;
I widzim jako wróg w koło obsiadłszy,
Z szyderstwem w jego upadek się patrzy.

Jeruzalemu córy rozproszone,
Z płaczem i jękiem tułać się dziś muszą —
W którąż się biedne zwrócić mają stronę?!
Srogiego jarzma wrogów swych nie skruszą...
Wszystkie nadzieje, o! wszystkie stracone —
Bolesnem sercem, korzącą się duszą
Do ciebie tylko modlą się — Jehowo!
Abyś odwrócił swą karę surową.

A ku nam przyszli, co jarzmo wtłoczyli,
Żądając od nas wesołej piosenki —
Lecz się w żądaniu swojem pomylili —
Bo ja do harfy nie przyłożę ręki,
Choćby mi rękę zuchwalcy przebili.
O! bo nie dla nich mojej harfy dźwięki —
Nie na posługi święte jej akordy,
Pieśń jej, nie zabrzmi dla nikczemnej hordy.

Harfę na wierzbie płaczącej zawieszę —
Ona jest wolną i niepokalaną —
W smutku się moim nią jedynie cieszę;
Dźwięki mej pieśni w duszy mej zostaną,
Nigdy ich dzikie nie usłyszą rzesze —
Ja czekać będę, aż zaświta rano,
W którem nam słońce pociechy zaświeci,
Gdy Bóg gniew srogi odwróci od dzieci.

J. K. Turski.

PRZYWYCZKI.

Komedya w 4 aktach.

(Ciąg dalszy.)

AKT IV.

SCENA I.

(Ten sam salon.)

(Anna siedzi przy stoliku i szyje — na boku stoi Jaś kręcąc się, i z nogi na nogę przestępując.)

JAŚ *(na stronie.)* Jaki ja jeszcze głupi — mama kazała mi się żenić, to przecie wszystko jedno z którą, *(chrząkając.)* Panna Anna szyje?

ANNA. Jak pan widzisz.

JAŚ. Mój Boże, jakie to ładne zatrudnienie! *(Anna się śmieje,)*

JAŚ. Pani się śmieje? — a mnie się płakać chce.

ANNA. Cóż znowu, a to dla czego?

Jaś *(przybliżając się.)* O gdyby panna dobrodziejka wiedziała co mnie gniecie, toby może nademną zapłakała, jak mamę kocham.

Anna *(z spółczuciem.)* Biedny pan — cóżby to być mogło?

Jaś *(na stronie.)* Dałże mi ten Tarabański *(głośno.)* Co? albo ja wiem najdroższa panno Anno, to jest coś takiego co jest niby nic a jest przecie coś.

Anna. Jeszcze nie rozumiem.

Jaś *(konfidencyonalnie.)* Widzi panna Anna, jak'em pannę Katarzynę Oskumińską dwa razy w rękę pocałował, to mi było tak samo.

Anna. A więc pan zakochany?

Jaś. Oj to to.

Anna *(smutnie.)* I może nie wzajemnie.

Jaś *(drapiąc się.)* Tego to właściwie nie wiem — ale gdyby panna Anna chciała, tobym wiedział.

Anna. A to jak?

Jaś *(na stronie.)* Znowu się boję, przecieżem nic nie ukradł *(głośno.)* Ot... kocham pannę Annę, jak mamę kocham.

Anna *(powstając.)* Cóżto żarty? *(po chwili.)* Bo jeżliby to prawdą być miało, to byłabym nieszczęśliwą nie módz odpowiedzieć żadną wzajemnością *(siada.)*

Jaś. Otóż i masz, a zbierałem się tak długo. *(Smutno)* Ano to ja widzę że jużem w tym domu nie potrzebny, mama kazała mi się koniecznie żenić, panna Pawlina niby mnie chciała, niby mnie nie chciała, panna Anna także iść mi każe z Bogiem. Ja pójdę — żegnam panią, bądź pani zdrowa *(chce ją pocałować w rękę, Anna mu ją usuwa — Jaś wychodzi powoli spotykając we drzwiach Tarabańskiego.)*

Jaś. Odjeżdżam panie Michale z nosem na kwintę.

Tarabański. Ale poczekaj, jeszcześ potrzebny.

Jaś. Co mi tam jadę.

Tarabański. Mazgaj pan, jak pojedziesz.

Jaś *(przyskakując.)* Co to znowu? *(zastanawia się i wychodzi.)*

Scena II.

(Anna potem Tarabański.)

Tarabański *(podchodząc na stronę.)* Dalibóg ładna, a jaki słodki wyraz oblicza *(głośno)* Pani zajęta? *(siada.)*

Anna. Leciutką pracą, tak dla odpoczynku.

Tarabański. Aże miło widzieć osobę pracowitą.

Anna *(z uśmiechem.)* Przyzwyczajonam.

Tarabański *(z westchnieniem.)* O, to to przyzwyczajenie! dlaczegóż wszyscy do dobrego nieprzyzwyczajeni! — panna Pawlina tegoby nie potrafiła.

Anna *(uniewinniając.)* Dlaczegóżby nie? — tylko mając więcej wykształcenia przekłada czytanie.

Tarabański. A pani czytać nie lubi?

Anna *(żywo.)* Owszem bardzo, może zanadto.

Tarabański. Zanadto?

Anna. Tak jest, bo nie mam wiele czasu.

Tarabański. Rozumiem — powiedz mi jednak pani, czy nie czujesz się unižoną czasem tym jednostajnem a pracowitem życiem.?

Anna *(zmięszana.)* Uniżoną nie, — czasem tylko zapragnęłabym więcej spokoju.

Tarabański *(rezolutnie.)* A gdyby pani kto ten spokój w największej czci i uwielbieniu ofiarował, czybyś przyjęła?

Anna *(na stronie)* Co to ma znaczyć? *(głośno.)* Prawdziwie...

Tarabański *(powstając mówi z zapałem.)* A gdyby człowiek prosty, nie mający żadnych powabów, gdybym ja po prostu błagał panią o jej śliczną rękę, a w zamian ofiarował poświęcenie się zupełne, czybyś przyjęła?

Anna *(milczy chwilę, nareszcie mówi)* Nigdy — Panie Tarabański mało go znam, chcę wierzyć w jego charakter, ale nie rozumiem tego postępowania i tej jego nagłej decyzyi.

Tarabański. Słusznie pani zdziwiona, bo pani jest wiadomem moje staranie się o Pawlinę, ale tamto... minęło, wydarłem pamięć o tem nawet jak chwast z pomiędzy kwitnącego ziela, a teraz... popchnięty głębokim szacunkiem, przyznam się otwarcie może i zemstą, proszę o jej rękę, bo o serce nie mogę mieć nadziei.

Anna *(poważnie.)* Więc pan tak mało cenisz godność kobiecą, że sądzisz iżbym mogła oddać komu rękę nie oddawszy serca?

Tarabański *(smutno.)* Wierzę w wyjątki, — wiem także że zuchwały krok zrobiłem czyniąc pani to wyznanie tak nagle i bez zasługi z mej strony, ale czuję, że z rozkoszą chciałbym pani szczęście zgotować, a nawet... że to szczęście przyszłoby mi bardzo łatwo...

Anna *(wzruszona.)* Dziękuję za tak dobre dla mnie chęci ale... ja sobą rządzić nie mogę...

Tarabański *(z pospiechem.)* Błagać będę wójostwa.

Anna. Daruj pan nie mogę.

Tarabański. Ostatnie słowo?

Anna. Ostatnie.

Tarabański. A więc przebacz mi pani mój krok nagły— teraz widzę com stracił *(odchodzi.)*

Scena III.

(Anna potem Adam.)

Anna. Cóż to wszystko ma znaczyć? — Dlaczegóż oni dziś ofiarują mi się tak nagle. Czy sobie czynią igraszkę? Nie, oni wiedzą żem biedna i sierota. Oni obaj — Adam tylko zdaleka, wiecznie smutny i kochający inną. — Boże! czemuż nie wydrzesz mi nieszczęsnej miłości z serca, cóż Ci przyjdzie z mego cierpienia?! *(wchodzi Adam, mówi smętnie.)*

Adam. Ucieka pani dla tego że ja przychodzę, — tak przykrą moja obecność wszystkim.

Anna *(z wysileniem.)* O nie — i owszem,.. zostanę. *(Siadają.)*

Adam. Chciałem się z panią pożegnać — odjeżdżam na zawsze.

Anna *(krzyknąwszy).* Na zawsze! *(chwila milczenia.)*

Adam. I pocóż tu zostać? — zdeptano i wyszydzono.— Może mam patrzeć na ślub jej z Obojętnickim?

Anna. Czyż to już tak pewne?

Adam. A chociażby nie było, czy pani mnie sądzisz tak słabym, abym klęczał gdziem odepchnięty, lub abym wierzył gdziem widział fałsz i ohydną zabawkę!

Anna. Może to tylko nieporozumienie — ona tak roztargniona...

Adam *(z uczuciem.)* O pani złote serce tego i pojąć nie może — pani byś nie mogła bawić się cudzą boleścią, — żartować z czyich świętych wzruszeń, cieszyć się z czyich łez...

Anna *(wyrywając się.)* O nigdy!

Adam. Pani gdybyś kochała, kochałabyś duszę, nie ten wiecznie nasuwający się fatalny ziemski blask.

Anna *(zapominając się.)* Ten by mnie tylko raził.

Adam *(zapalając się.)* Pani byś nie miała serca lać żar komu w piersi, a potem ostudzać go piekielną kroplą ironii *(porywając jej rękę)* — pani byś poczciła wierną miłość?

Anna *(również.)* Najserdeczniejszą wzajemnością.

Adam *(puszczając jej rękę.)* A ona!

Anna. Ah! *(na stronie.)* Chwilka ułudy!

Scena IV.

(Ciż. Pawlina, Obojętnicki.)

Pawlina *(wchodząc mówi z docinkiem.)* Co widzę!— aże miło, państwo w tak czułej rozmowie, — otóż hrabio bierz wzór.

Obojętnicki. Ba!

(Adam wstrząsa się ze wstrętem, Anna stoi zmięszana.)

Pawlina *(z ironią.)* Wierz mi Anusiu że mnie cieszy, iż z tego letargu zaczynasz wychodzić, takaś też ciągle zaprzątnięta kuchnią tylko była.

Anna. Nie wiem co chcesz powiedzieć Pawlinciu!

Pawlina. Jeszcze nie? — daruj, że język pana Chrobrzyńskiego zrozumialszy.

Adam *(ostro.)* Niegdyś był on zrozumiały i dla innych.

Pawlina *(śmiejąc się z przymusem.)* Dla czegóż się teraz przerodził w hieroglif?

Adam. Hieroglifem jest on dla tych, którym tak z roli teraz wypada.

Obojętnicki. Państwo się w szarady bawią, ja się na tem znam.

Adam. Wątpię czy się pan znasz, bobyś może był ciekawszy je odgadnąć.

Obojętnicki. Odgadnąć *a quoi bon*? *(otwiera okno i wygląda.)*

Pawlina. Cieszy mnie pana dzisiejszy rozmowny humor, *(poziewając)* jaka szkoda że pan dawniej nie był taki.

(Adam gwałtownie krok postępuje, rzucając na nią bystre spojrzenia. Pawlina się odwraca zawstydzona, Adam po chwilce cofa się i siada obok Anny, która przez ten czas ciągle milcząca była.)

Anna *(półgłosem.)* Panie Adamie uspokój się.

Adam *(wskazując na piersi.)* Już nic, tu tylko trochę zawrzało.

Obojętnicki *(odwracając się od okna.)* Pamiętam przeszłego roku, akuratnie był dzień taki chmurny.

Pawlina. Masz hrabio dobrą pamięć *(z docinkiem)* i widać że się na tem znasz *(na stronie.)* To — mój mąż!

Obojętnicki. Wszyscy jak widzę dziś w złym humorze, to tak często bywa.

Pawlina. I na tem się pewnie hrabio znasz?

Obojętnicki *(z wyrzutem.)* Pani! *(na stronie)* Nic to, — reakcya nastąpi.

Pawlina. Przyznaję ci hrabio, że wszyscy jesteśmy dziś pokwaszeni, i dla tego w sam raz przybywają nam weseli towarzysze . . .

Scena V.

(Adam ciągle siedzi obok Anny rozmawiając z nią po cichu, na przodzie sceny Obojętnicki stoi koło siedzącej Pawliny, w tem wchodzą Tarabański i Jaś.)

Pawlina *(odwracając się.)* W sam raz przychodzicie panowie rozpędzić chmury, które na czołach wszystkich osiadły.

Tarabański *(z ciągłą ironią.)* Chmury na pani czole, co masz taki dar ich rozpędzania?

Pawlina. Sądzisz pan?

Tarabański. Alboż się nie przekonałem *(na stronie.)* Miałażby udawać niewiadomość?

Pawlina. O pan zawsze grzeczny, nie tak jak pan Chrobrzyński, który tam konspiruje z cichutką Anulą.

Anna. Ty przynajmniej Pawlinciu nie możesz się skarżyć dziś na humory, kiedyś taka wesoła.

Pawlina *(z przekąsem.)* Oho, to nawet państwo słyszeli naszą rozmowę!

Tarabański *(słodko.)* Któżby chciał jedno z jej słów stracić!

Jaś *(głośno.)* Ja pierwszy.

(Wszyscy się śmieją.)

Pawlina *(na stronie.)* Tarabański mówi komplementa, to coś złego.

Obojętnicki. Darują państwo, że na chwilę ich miłe towarzystwo opuszczam, lecz obiecałem panu Pyszalskiemu. *(Kłania się i wychodzi.)*

Jaś *(na stronie.)* Ciekawym, po co mnie tu ten Tarabański jeszcze przywlókł.

Pawlina *(do Jasia.)* Dziękuję panu za słowa prawdy, ale przynajmniej umiem ocenić szczerość.

Jaś. O jabym pani zawsze szczerą prawdę mówił, ale się boję, jak mamę kocham.

Pawlina. Ato dla czego?

Jaś. Co tego to sam nie wiem, ale się przecie boję.

Tarabański. Pan Przyzwoliński boi się narazić tej, za którą być może chciałby i życie poświęcić.

Pawlina. Dziwi mię dzisiejszy pana sposób mówienia.

Tarabański. Jakto? czyż inaczej mówiłem kiedy?

Pawlina. Pan się jeszcze pyta? *(ciszej.)* Panie Michale proszę o chwilkę rozmowy.

Tarabański. Najchętniej *(na stronie.)* Ciekawym.

Anna *(powstając.)* Pawlinciu może przejdziemy do salonu.

Pawlina. Natychmiast tam przyjdę.

Adam *(do Anny.)* Pozwoli sobie pani służyć?

Jaś *(przybiegając.)* O i ja pójdę, na złość tu nie zostanę.

Scena VI.

(Tarabański i Pawlina.)

Pawlina. Musisz mi się pan wytłomaczyć.

Tarabański. Proszę pytać.

Pawlina. Zkąd się panu dziś taka słodycz jemu niezwyczajna bierze?

Tarabański. Zkąd? Ah! może to z nieskończonej radości, która me serce przepełnia.

Pawlina *(zdziwiona.)* Jakto? więcby mama moja przyzwoliła?

Tarabański *(udając zdziwionego.)* Przyzwoliła, a na co?

Pawlina. Prędko pan zapominasz słowa, któreś niedawno tak gorąco wypowiedział.

Tarabański. Prawda mam trochę krótką pamięć, ale też i ten los, który takie dziwne płata figle! Ot n. p. kiedym rano odchodził od pani upojony szczęściem aby się rzucić jej rodzicom do nóg, nie wiem dla czego jeszcze się na słówko do pani wróciłem, w tem co za widok pocieszny... *(śmiejąc się głośno.)*

Pawlina *(na stronie.)* Dla Boga *(głośno)* Pocieszny?

Tarabański. Daruje pani, że mnie taki pusty śmiech porywa, ale jakże się nie śmiać na samo wspomnienie.

Pawlina *(drżąca powstając.)* Proszę bardzo mówić.

Tarabański. Otóż wracam i słyszę rozmowę tu z poza tego ekranu, gdziem się tak dla zabawki schował, słyszę te same słowa com ja mówił do pani, a co lepsza te same słowa odpowiedzi, które ja odebrałem — jakże się tu nie śmiać ha! ha!

(Pawlina chwiejąc się siada — nareszcie udaje śmiech.)

Tarabański. A co nie mówiłem, że i panią to zabawi, *(nagle serio.)* Jednak nie powinienem się śmiać, ja dzisiaj miałem nieszczęście . . .

Pawlina *(z przekąsem.)* Jeżeli takie jak to, to się pan prędko pocieszy.

Tarabański. Gdyby takie! ale ja miałem większe, ja miałem wielkie, prawdziwe nieszczęście.

Pawlina. Proszę, można wiedzieć?

Tarabański *(mówiąc powoli.)* Prosiłem dziś o rękę najgodniejszej, najzacniejszej, o rękę panny Anny i ta mi odmówiła?

Pawlina *(krzyknąwszy.)* Odmówiła?

Tarabański. Tak jest pani, powiedziała, że nie umie oddać ręki nie oddając serca *(z przyciskiem.)* Panna Anna to powiedziała.

Pawlina *(zamyślona powtarzając machinalnie.)* Odmówiła.

Tarabański. Odmówiła także Przyzwolińskiemu, dla tej samej przyczyny.

Pawlina *(z goryczą.)* Cóż się stało, że Annie, której dotąd nikt nie uważał tak nagle wszyscy ofiarują małżeństwo.

Tarabański. Pani powiadasz wszyscy; o gdyby wszyscy, ale Adam jakoś nie może się zdecydować.

Pawlina. O nie obawiaj się pan, zdecyduje się, zdecyduje.

Tarabański. I ja tak myślę, bo o ile uważampanna Anna go kocha.

Pawlina. A on?

Tarabański. No, on jeszcze sobie sprawy z tego zdać nie umie ale to przyjdzie, to przyjdzie.

Pawlina. Przyjdzie pan powiadasz, o jakżeś troskliwy! (*kłaniając się nisko*) o jakżem mu wdzięczna za jego objaśnienia, prawdziwie taki mając dar opowiadania, to grzech dać się jednej tylko słyszeć osobie.

Tarabański (*kłaniając się jeszcze niżej.*) Dla tego biegnę gdzie indziej — a teraz panią żegnam (*odchodzi w połowie drogi wracając, mówi.*) Życzę również wesołych dni jak dotąd — życie takie krótkie! (*odchodzi.*)

Pawlina. Ślicznie dziękuję (*patrzy się długo za nim nareszcie wybucha gniewem.*)

Scena VII.

(*Pawlina sama.*)

Odszedł tryumfujący — o jakże mnie słowa jego palą! — Oświadczyli się — Anna ich nie przyjęła — chcieli mi więc dokuczyć. Adam tylko jeden się wacha, a więc o mnie pamięta (*biorąc się za czoło mówi gwałtownie.*) Żal, żal mi tego człowieka, a może i siebie i gdyby teraz chciał . . . . (*zimno*) to i tak bym go odrzuciła — nie chcę być doktorową... ja będę hrabiną. (*D. n.*)

PRZEGLĄD DZIEŁA:

Godziny rozmyślania, czyli rady i przestrogi dla dziewic,

przez Karola de Sainte Foi.

(Dokończenie)

W rozdziale czternastym jest mowa o towarzystwie. Nic tak zgubnie na młodą duszę nie wpływa jak zła książka i niedobre towarzystwo. Dla tego też w obiorze jednego i drugiego największa zachodzi trudność. Słusznie też i z całą miłością przyjaciela ludzkości napomina dziewice p. de Sainte Foi, aby były ostrożne w obieraniu sobie towarzystw.

W waszym wieku, mówi na karcie 212, serce potrzebuje kogoś, komuby mogło zwierzyć się i wywnętrzyć; chcieć więc pozbawić je zupełnie szczerych i nie nagannych związków, byłoby to wystawiać je na zbyt ciężką próbę a może nawet na ciężką reakcyę. Należy za tem obchodzić się z niem łagodnie i względnie, nie traktować zbyt surowo, chyba że Bóg zaszczepił weń szczególniejsze zamiłowanie samotności i zupełne oderwanie od świata, w przeciwnym bowiem razie, odmawiając mu tego, czego wymagać ma prawo, drażnimy je tylko, a tem samem podbudzamy i utwierdzamy jego coraz wzmagające się żądze i potrzeby. Ale jeżeli źle jest zmuszać serce do milczenia i bezczynności, stokroć gorzej jeszcze karmić je płochemi, lekkomyślnemi uczuciami, i dozwalać zawierać te przelotne i bezcelne związki nie mające żadnej stałej podstawy, bo nic go tak nie zużywa, nie niszczy całej jego działalności i siły, jak nawyknienia do tych przesadzonych i śmiesznych skłonności, w których najczęściej wyobraźnia główną odgrywa rolę. Niebawem serce takie zużyje się i przekwitnie, powstanie w niem jakaś próżnia podobna tej, jaką w nas tworzy zbyt mało posilne pożywienie, i wkrótce stanie się niezdolnem do żadnych silnych i szlachetnych uczuć.

Następnie przywodzi zgubne skutki w wieku dojrzałym kobiet, spostrzegać się dające — a jedynie pochodzące z tego, że młodość u nich przeszła bez tej potrzebnej rozwagi nad sobą — że w towarzystwach nauczyły się marnować swe uczucia a serca żadnym posilnym pokarmem nie napełniły.

Nim zawrzesz przyjaźń, poznaj dokładnie tego, z którym ją zawierasz. Pierwsze wejrzenie, pierwszy pociąg często bardzo zawodzi. Przyjaciółce prawdziwej oddajesz całe serce twoje, wszak przed nią nic w niem nie ma być ukrytego, wszak ona ma ci być pociechą w strapieniu, ulgą w niedoli. Dobre to są rady — podający je prawdziwym jest przyjacielem tych, którym tak zbawiennie doradza.

Rozdział piętnasty o ubieraniu, zawiera w sobie uwagi o zbytkowych strojach i zaleca skromność, jako najpiękniejszą ozdobę panienki, zaleca kształcenie się w smaku (guście), bo to, powiada, najlepszy środek, abyście później umiały się ustrzedz tych przesadnych dziwactw mody, powiększej części zupełnie niezgodnych z dobrym smakiem, a często nawet przeciwnych skromności, bo piękno i dobro są ściślejszemi, niż się na pozór zdaje, z sobą połączone węzły, a oba razem są tylko różnorodnem odbiciem i postacią prawdy.

Co jest prawdziwie piękne nigdy nie może być sprzeczne z prawdą ani z dobrem, i dla tego to najczęściej widzimy tak w historyi ludów, jak i pojedynczych ludzi, że skażenie gustu łączy się zazwyczaj z zepsuciem serca i obyczajów.

A z naszej strony co do tego dodać możemy i to, że odkąd u nas skaził się smak do narodowego stroju — odkąd Polki szaty matron dawnych wyśmiewać poczęły, odtąd nie tylko serce, nie tylko obyczaje — ale i duch narodowy psuć się począł — a zepsucia tego skutki, każdemu są wiadome.

Na zarzut powszechnie dziś od modnego świata robiony, co do potrzeby pięknego stroju kobiecie, odpowiada p, Sainte Foi: mylilybyście się sądząc, że młoda osoba potrzebuje kosztownego i wyszukanego stroju, aby mogła wzbudzić w kim uczucia szacunku i przywiązania, zapewniające jej odpowiednie małżeńskie związki. Bądźcie przekonane, że każde, choćby najkorzystniejsze na pozór małżeństwo, jeźli jedynym doń bodźcem były tylko świetne stroje i zewnętrzne powaby, musi stać się źródłem gorzkich cierpień i zawodów; bo ten kto nie zważając na rzeczywiste przymioty kobiety, daje się podbić tylko powierzchownemi wdzięki, prawdziwą czyni jej krzywdę i tak dla niej jak dla siebie, smutną, godną pożałowania gotuje przyszłość! Gdybyście dobrze pojmowały prawdziwe wasze doczesne i wieczne dobro, zamiast szukać w ubiorze środków podobania się, owszem ilekroć okazywałby wam ktoś swoje zajęcie i skłonność, starałybyście koniecznie przekonać się, czy nie na równie przemijających opierają się podstawach; a przychylne i kochające was osoby, zamiast pobudzać wrodzoną próżność i zamiłowanie w strojach, starałyby się przeciwnie pobudzać w was poczucie dumy i godności własnej.

Wartość uczucia zależy od powodów i środków, jakie je wywołały, może więc kobieta przywiązywać jakąś cenę do skłonności z tak błahych powstałej przyczyn, obudzonej jedynie powierzchownemi przymiotami, niegodnemi zajęcia rozumnej istoty? Ale skutkiem jakiegoś niepojętego zaślepienia, większa część kobiet, nie pojmując własnego dobra, bardzo wysoko ceni zalety powierzchowne, i wynikające z nich znikome korzyści, a zaniedbując rzeczywiste, gruntowne przymioty, zdolne wywrzeć głębokie, trwałe wrażenie na silnej i myślącej duszy. Żalą się na zaniedbanie i podrzędne w społeczeństwie stanowisko, a robią wszystko, co tylko może usprawiedliwić to zaniedbanie i utrzymywać w umysłach zbyt przesadzone często wyobrażenia o wrodzonej im lekkomyślności. Jeźli tylu mężczyzn z tej złej jedynie strony znających kobiety, tak smutne mają wyobrażenie o ich rozumie i charakterze, kobiety po części

same sobie powinny przypisać i sąd tak niekorzystny i wszelkie przeciw nim uprzedzenia.

W następnych nareszcie rozdziałach z równem sercem i z równą znajomością życia, jak dotąd, przechodzi autor dwie wady kobietom niemal wrodzone, określając ich zgubne skutki i podając rady do ich wytępienia z siebie. I tak w rozdziale szesnastym mówi o żądzy podobania się. Przyznaje on iż sam początek kobiety, jej stworzenie z żebra Adamowego, i cel jej istnienia naznacza jej przypodobanie się mężczyźnie — ale powiada zarazem, że — jeżli kobieta powodowana zbytecznie żądzą podobania się, stara się dokazać tego niegodnemi jej środkami, lub przymiotami spólnemi jej z niższemi, podległemi jej władzy istotami, ubliża swej naturze i sprzeciwia się zamiarom opatrzności.

Drugą, podobnego rodzaju wadą u kobiet, jest ciekawość. Ciekawość dla kobiety może mieć najzgubniejsze następstwa. Ciekawość była początkiem upadku rodzaju ludzkiego — szatan gdy zapragnął nas zgubić, udał się prosto do kobiety i starał się rozbudzić jej ciekawość, wiedząc dobrze, że jeżeli tego dokaże, łatwo mu będzie zachwiać i osłabić jej wolę.

Jako środek przeciw zakorzenieniu się tej zgubnej wady, w duszy kobiety, podaje autor: wzniesienie umysłu i serca do rzeczywistego zamiłowania prawdy, i przyzwyczajanie ich wczesne do zdrowych, gruntownych pokarmów.

Brak rozwagi i skupienia ducha jest źródłem ciekawości. Na dowód tego przytacza autor słowa Jeremiasza proroka: *„Zniszczeniem zniszczona jest ziemia, bo nie ma ktoby w sercu swem rozmyślał.“*

W dwóch następnych rozdziałach XVIII i XIX poleca autor swym czytolniczkom zbawienną radę, jako środek uniknienia wszystkich niemal wad, o których w poprzednich rozdziałach była mowa. Środki te zaś są: zastanawianie się i rozmyślanie o Bogu, o swej duszy zbawieniu, o życiu i obowiązkach swoich. Jest to niemal rachunek sumienia, o którego potrzebie powiedzieliśmy już pokrótce w jednym z numerów naszego pisma. — Zwraca się w końcu do najistotniejszego obowiązku kobiety, posłuszeństwa rodzicom, rozbierając jego znaczenie obszernie. W tym rozdziale przechodzi autor wszystkie rodzaje obowiązków córek względem rodziców — i o tych spomnieliśmy już w „Niewieście“. Powtarzać więc i przytaczać jego wyrażeń nie będziemy.

Wreszcie całą tę, drogocenną i ze wszechmiar polecenia godną książkę, zakończa ważne bardzo upomnienie podane matkom a tyczące się udzielania książek do czytania panienkom. O tym przedmiocie już nie raz mówiliśmy.

Pani Wilkońska przekonywająco już dowiodła zgubnego skutku z czytania złych książek (*obscène* i *slipery*) wynikającego. Na tę materyą przyjdziemy nie raz jeszcze — dla tego też i nad tym rozdziałem rozwodzić się nie będziem i rzecz a raczej wyimki treściwe z dziełka p. de Sainte Foi niniejszem zamykamy, powtarzając raz jeszcze nasze zdanie o wielkiej jego wartości, autorowi zaś przyznając i serce i znajomość życia i charakteru kobiet — zowiąc go prawdziwym przyjacielem dziewic. —1.—

---

† W dniu 16 listopada jako w rocznicę śmierci ś. p. *Edmunda Wasilewskiego*, odbyło się w kościele XX. Marków żałobne nabożeństwo za duszę tego poety ulubieńca Krakowian.

Podczas nabożeństwa amatorowie śpiewu z pomiędzy naszej młodzieży, odśpiewali mszę żałobną pana Mikuszewskiego i prześliczne Salwe Cherubiniego, poczem licznie zgromadzona publiczność Krakowa udała się na cmętarz, gdzie się odbyło poświęcenie pomnika, wystawionego składkami ziomków autorowi „Katedry na Wawelu“. Pomnik ten acz skromny, piękną będzie pamiątką wdzięczności rodaków dla swojego ulubionego poety. Wykonał go pan Stehlik, Krakowianin. Na kilku schodkach, wsparty postument z ciosowego kamienia, na nim urna świeżym wieńcem owita. Na podstawie napis: Edmundowi Wasilewskiemu ur. 1814 † 1846 Ziomkowie.

Napis ten skromny wymownie świadczy o pamięci na jakie sobie cnota i natchnienie zasłużyło.

Przed rozpoczęciem obrządku, przemówił J. K. Turski słów pare, słów gorących, rzewnych, jak gorącą i rzewną jest pamięć po zmarłym poecie... Potem ks. Kęcki odmówił modlitwę za umarłych, a kilku z młodzieży odśpiewało pieśń żałobną i „Requiem“, który ten piękny obrządek uroczyście zakończyło. Lubo ten fakt świadczy, że potomność, umie poszanować drogie cienie swej przeszłości, nasuwa nam się jednakże w obec niego myśl, że na cmętarzu krakowskim, wiele jest jeszcze mogił, które ozdobione pomnikami, byłyby także chlubnem świadectwem, że Krakowiacy umieją szanować przeszłość i zasługę.

TEATR POLSKI W KRAKOWIE.

We czwartek 15go listopada odegrano w tutejszym teatrze na benefis zdolnej artystki Marcelli Biedrońskiej, nową zupełnie sztukę — a podaną na konkurs warszawski p. t. *„Tak się dzieje czyli życie nad stan“* napisaną wierszem oryginalnym przez *Stanisława Bogusławskiego*.

Przed ocenieniem gry występujących w niej artystów, musimy tu wyrazić nasze zdziwienie: jak mogła artystka taka, jaką jest p. Biedrońska obrać na swój benefis sztukę w której ani przez nią odegrana rola, ani treść, ani żadna jej zaleta do tego ją skłonić nie była powinna. Rola p. Biedrońskiej tak jest nic nieznacząca, tak niezręcznie przyczepioną do tego całego zresztą chaosu ludzi, myśli uczuć i egzaltacyi — że nam prawdziwie żal było beneficyantki, którą spodziewaliśmy się widzieć w jakiejś pięknej, jej talentowi odpowiedniej roli. Komedya „Tak się dzieje“ nie mając w sobie żadnej komicznej intrygi — nie ma żadnej artystycznej wartości — a morały do niej najnieszczęśliwiej przylatane, tak dalece nużą słuchaczy, że nawet wiersz dosyć gładki, nie zdołał złagodzić przykrego wrażenia. O cóż chodzi w tej komedyi? Oto panicz, zacny, szlachetny, sumienny, najlepszego serca i najpoczciwszych zasad — ożeniwszy się z modną i próżną panią, trwoni odziedziczony po ojcu majątek — o mało nie upada na charakterze będąc nagabywanym od wierzycieli — zwycięża jednakże pokusę w osobie lichwiarza-żyda — i w końcu zostaje wyratowanym łaską swego stryja, który w ostatniej scenie pożycza 100,000. — Oto cała treść sztuki. Na cóż tu ta nikczemnie brudna Rypsowa? Na co jej córka—zkąd i poco wchodzą one, i opowiadają publiczności wszystkie swe głupie myśli i nikczemne a najniemoralniejsze zasadzki—Pani Edwardowa, w której salonie wszystkie trzy akta się odbyły — nie żyje z żadną z nich — nie przyjmuje ich—wychodzi natychmiast z domu, skoro się pani Rypsowa ukazuje — a przecie ta p. Rypsowa, to cała niby komiczność sztuki!

Zkąd Wacław został poetą? Wszak ani jednem słowem, wszak i nie opisem doliny? nie zdradził swego talentu? Mąż — to być parodya poety? I to nie. Cóż to więc jest? Jaki związek ma ta postać z całością? A ten pan hrabia. Jakiż to nienaturalny stosunek jego z rodziną Rypsów! Jeden Edward mógłby być przedmiotem utworu scenicznego — najwięcej w nim życia, najwięcej akcyi — zdałby się ale i to nie do komedyi. Ta jego np. walka z sumieniem w obec lichwiarza namawiającego go do sfałszowania podpisu stryja — piękna — to jeden moment najlepszy ze wszystkiego.

W całej sztuce pełno nienaturalności — niesmaku, gorączki i chorowitej egzaltacyi.

Z tego też powodu niezawodnie i artyści grą swoją nie mogli jej podnieść. Przesadną postać Rypsowej najprzesadniej skarykaturowała p. Krajewska — niewidzieć jakiego poety nie mógł zrozumieć p. Benda — hrabiego tylko p. Królikowski oddał naturalnie, wyjąwszy te miejsca gdzie rola kazała mu być nienaturalnym. Pan Janowski parę razy ożywił monotonność swej dykcyi — szkoda tylko, że tak niezręcznie przekręca wiersze, psując ich harmonię dodawaniem własnej kompozycyi wykrykników ach! a! o! och! i—a—i t. p.

Małą rolkę lichwiarza pan Delchau odegrał dobrze. Ten mróz we krwi szachraja był bardzo trafny i zręczny.

Szkoda—i jeszcze raz mówimy szkoda, że p. Biedrońska nie miała właściwej roli, wszelakoż nawet i w tej — przypominała swój talent naturalnością i prawdą gry. —

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, Antoni Rother.